

Fenillant'ów i Kapucynów, zdemolować sąsiednią dzielnicę i poprowadzić przez Marais, na gruncie małych bagnistych uliczek aż do Bastylli. Potem obiegła go Józefina i Hortensya i już przez godzinę przed obiadem nalegały na wydanie ostatnich rozporządzeń. Trafiły na znośny humor:

— No cóż! upieracie się przy operze? — Trzeba wam dogodzić, i zrobić, czego chcecie. Trudniej dać sobie radę z kobietą niż z mężczyzną. Rozkażcie przygotować gotowe powozy. Pojedziecie ze swoim dworem, a ja zabiorę do swego powozu generałów Lannes i Bessieres, których na dziś zamówiłem. Zrobi im to wściekłą przyjemność. Zwłaszcza Lannes'owi, którego uważam za zdolniejszego do rozróżnienia kalibru ósmego od dwunastego, niż dźwięku fletu od basetli. Bessieres zaś to Gaskończyk, w najlepszym razie meloman. Bądź co bądź z dobrej rodziny, gdy tymczasem Lannes... Ale za to — z Lannes'a bohater!

— Ubieramy się naturalnie paradnie, zauważyła Józefina.

— Tobie nie trudno być piękną.

Tak tedy czułe nalegania samej rodziny szły po myśli projektodawców zamachu na Bonapartego. W tej chwili, gdy pierwszy Konsul wydał ostatecznie przychylne rozporządzenie, na ulicę Saint-Nicaise wjechał wózek Saint-Régeant'a, Carbon'a i Limoëlana. Szczegółowe oględziny terenu kazały się spodziewać pewnego powodzenia. Droga, wiodąca z Tuileryi do Opery wiodła z placu Karuzeli przez ulicę Saint-Nicaise, przez ulicę de Chartres i de la Roi. Na rogu de Chartres był wnęk, jakby stworzony do ukrycia wózka. Na tem stanowisku miał Saint-Régeant czekać na znak Limoëlana, pozostałego na rogu Saint Nicaise, tu mógł doskonale wymierzyć w chwili, kiedy Konsul wychylił się z rogu Chartres. Przestrzeń była za krótką, by powóz, konie i eskorta ująć mogły wybuchu, sam Saint-Régeant niósł własne życie w ofierze. Słabą miał nadzieję ująć cało przed wybuchem. W suterrenach pewnego domu o dwieście tylko kroków za wózkiem, był sklepik łaciarza. Gdyby Saint-Régeantowi udało się dać skok przez stale otwarte drzwiczki sklepiku, mógłby być cudem uniknąć śmierci. Obliczył tę ostateczną możliwość. Przemyślał nad nią, nie słabością wiedziony, lecz uczuciem. Chciał życie ocalić, nie dla siebie lecz dla Emilii.

Podzielił się z Limoëlanem swymi zamiarami. Dochodziła siódma. Ulice były prawie puste. Mieszkańcy Paryża schronili się przed chłodem czarnej nocy i grzali się przy ognisku domowym. Limoëlan zajął wyznaczony posterunek, Carbon czuwał na rogu placu Karuzeli. Saint-Régeant ustawił wózek na rogu Chartres, siwka nakrył workami i przyłożył kurek do beczki. Wystarczyłoby mu nacisnąć cyngiel, by spowodować wybuch. Usiadł na chodniku i czekał z zimną krwią. Za sobą, w sklepiu słyszał śpiew dziecięcy.

Z wybićm kwadransu na dziewiątą rozległ się tentent konnego oddziału; to kawaleria kłusowała przez ulicę Saint Nicaise do Tuileryi. Była to eskorta. Na ten zgłęk wyszło na ulicę kilka ciekawych osób. I śpiewające dziecko, córeczka łaciarza, wyszła z ojcowskiej sutereny i zbliżyła się do wózka. Ciekawie przyglądała się białemu koniowi. Odwołano ją do domu, natychmiast tam wróciła. Uptynał znowu kwadrans. Kilku przechodniów zatrzymało się. Jeden z nich zapytał Saint-Régeant'a:

— Czy pierwszy konsul dziś wyjedzie? To jego eskorta minęła teraz ulicę, prawda? Gazeta donosiła, że ukaże się dziś w operze...

— Nie wiem o niczem — odpowiedział Saint-Régeant, który dałby wszystkie skarby świata za to, by nikt nie został na ulicy.

— Stąd będzie go dobrze widać, gdy będzie przejeżdżał.

— Lepiej w każdym razie na placu Karuzeli.

— Obywatel ma rację. Chodźmy na plac.

Użyło to Saint-Régeant'owi. Mimo to obok niego tkwiło uparcie kilku przechodniów i mała dziewczę z suterren wybiegło znów na ulicę. Stała przed siwką i głaskała go po nozdrzach.

— Idź stąd, mała — zawołał Saint-Régeant: nie zbliżaj się do konia, bo gryzie.

— Gdzież tam! On mię tylko liże! Zaśmiało się dziecko.

— Idź sobie w każdym razie. Tu nie ma dla ciebie miejsca.

— A dla pana? — odcięło się dziewczę.

W tej chwili posłyszał turkot, a Limoëlan rękę podniósł, jak było umówione, na znak, że czoło orszaku już się ukazało.

— Pójdiesz ty sobie! — z gniewem już zawołał Saint-Régeant. — A skoro dziecko, jakby osłupiałe z przerażenia, ani drgnęło na jego groźbę, podbiegł do niej i chciał ją rzucić wstecz. Wyrwała mu się, wołając: mamó!

Na ulicę Chartres wjeżdżało już dwu grenadyrów, którzy jechali przed powozem.

— Chcesz umrzeć, więc umieraj! — zawołał Saint-Régeant.

Powóz pędził co koń wyskoczy, gdy Saint-Régeant pocisnął cyngiel strzelby i jednym skokiem schronił się do sutereny. Całą dzielnicę wstrząsnął

— Powóz pani Bonaparte jedzie za nami w porządku. Nic się nie stało.

— Dojedziemy do Opery. Tam rozejrzemy się w sytuacji.

Tymczasem Saint-Régeant'owi, skrytemu w suterrenach łaciarza, wystarczyła krótka chwila do zebrania myśli. Wytracony przez wybuch z równowagi, spostrzegł wreszcie, że leży jak długi na dolnych stopniach schodów. Podniósł się i w prawej ręce uczuł ból dotkliwy. Zacerwienionemi, obezwładnionemi przez gryzący dym oczyma obejrzał rękę. Rękaw wierzchni odpadł zupełnie, u kostki podarty był ra strzępy, a przez nie widać było straszną ranę aż do kości. Krew strugą płynęła. Tuż pod łokciem rękę chustką przewiązał, by powstrzymać upływ. Rozejrzał się dokoła siebie. W sklepiu łaciarza została się żadna szyba. Meble poszły w drzazg. Łaciarz leżał w kałuży krwi, pośród rozrzuconych narzędzi. Żonę jego śmierć zabrała siedzącą na krześle i w tej pozycji zmarła została. Saint-Régeant powstał drżący z przerażenia, wszedł po kilku schodach, które go niewątpliwie uchroniły od śmiertelnego wstrząsu. Ze zgrozą spojrzął na nieszczęśliwe ofiary, które wylły się na bruk i wzywały pomocy. Już nadbiegła policja, straż tuileryjska zabrała się do dźwigania poległych. Jeszcze chwila i wszystko, co było zostało na miejscu zamachu będzie przedmiotem śledztwa, badań, dochodzeń. Saint-Régeant, który ranną rękę prawą podtrzymywał lewą, przemknął się ostatnim wysiłkiem woli na ulicę Saint Nicaise, biegiem nieledwie dopadł Saint-Honoré i tam dopiero, uważając się za bezpiecznego, zatrzymał się w jakiejś bramie i rozmyślał nad sytuacją. Co ma począć? Coby mógł zrobić? Czy wobec poważnej rany i znacznej utraty krwi będzie miał dość sił, by dostać się na ulicę du Dragon i ukryć u dobrej, oddanej Wirginii Grandeau? Czuł, że padnie w drodze. Czy będzie to upadek śmiertelny? Nie. Rana nie była śmiertelna. Gdyby padł, czekałoby go dostanie się pod opiekę przechodniów, odprowadzenie na posterunek policji, a tam, oskarżenie o dokonaną zbrodnię. Mógłby znaleźć powozik i dostać się na ulicę du Dragon, lub choćby tylko na bulwar des Augustins? Lecz co powiedzieć woźnicy, któryby naprzed przez litość spytał o przyczynę rany, później badał dla zaspokojenia ciekawości, a nazajutrz opowiadał szeroko o tem i naprowadził interesowanych na ślad rannego. Nie. O innym należało myśleć sposobie ukrycia. Pozostawał jeden jedyny dom Lerebourg'ów. I tam nie byłoby niebezpieczeństwo zupełnie usunięte, lecz wiele trudności byłoby zniwelowanych. Przedewszystkiem było to niedaleko. Nie więcej, jak sto kroków dzieliło go od drzwi pod Błękitnym Kołpakiem. Przyjął męża gwarantowała gościnne przyjęcie, bezpieczeństwo zapewniało oddanie żony. Było tylko przeczekać kilka dni, pierwsze chwile represji, a potem do Bretanii,

gdzie już był pewny siebie. Ponad troską o własne ocalenie górowała jednak myśl inna. Jaki wynik osiągnęło jego przedsięwzięcie? Czy wybuch pochłoniął upatrzoną osobę, pierwszego konsula. Na miejscu wypadku, ani śladu jego karety. Konie padły i żołnierze ranni wśród trupów. Saint-Régeant'owi czasu brakło na oglądanie następstw wybuchu. Teraz zaś, w ciemnej ukryty brampie, gdzie dolatywały go nawołujące się zewsząd głosy, przesuwwały się przed jego oczyma zwidziska placu, zaścienionego rannymi i martwymi, szamoczącymi się w tumanach ciężkiego, nieruchomego dymu, i wciąż powracało gnębiące pytanie: „Czy dobrze poszło? Czy zabiłem go?” Dwóch przechodniów, spieszących w stronę kościoła św. Rocha z miejsca zamachu, objaśniło rojalistę:

— Cudem uniknął śmierci! — mówił jeden.

— Widziałem, jak zajeżdżał do opery. Powóz zwalany. Bessieres krew miał na ubraniu. Idźmy stąd, idźmy. Nic dobrego nie spotka nas na ulicy. Aresztują na wsze strony...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wózek, na który znowu wsiadł Carbon, powlókł się w kierunku Bastylli.

niezmierny wybuch. Pryskaly szyby z rozdzierającym brzękiem, padały na bruk uliczny. W płomieniach i dymie padło kilkunastu widzów, rannych lub zmarłych, napełniając powietrze rozpaczliwym krzykiem. Dwóch jeźdźców z orszaku spadło z koni wprost pod karete. Z wózka, siwka, beczek i dziecynyki została jedna bezkształtna masa. Krótką sekundę trwał cały dramat. W następnej chwili wjechał w ulicę de Chartres powóz konsula. Energetyczna postać generała Lannes ukazała się w oknie pojazdu, a błyszczącymi oczyma objął natychmiast całość sytuacji. Grzmącym głosem rozkazał woźnicy: Galopuj. Woźnica ściągnął konie, eskorta zwartym pierścieniem otoczyła pojazd i wszyscy znikli pędem. Wewnątrz powozu zapytał Bonaparte, spokojny jak pod Marengo:

— Co to się stało, Lannes?

— Strzelono z armaty do powozu generała.

— Niemożliwe! Byłbym słyszał gwizd.

— W każdym razie, usiłowano zabić generała.

Bonaparte o siebie wcale się nie troskał, lecz rzekł:

— Bądź łaskaw spojrzeć, czy nie stało się nic mej żonie.

Bessieres wychylił się i odezwał się gaskońskim akcentem: